

Eleonora Czarnowska

*Wspomnienia o pracy społeczno-kulturalnej
w Ordynacji Zamojskiej
(1904-1920)*

Mieszkaliśmy w majątku naszym w Makowie pod Radomiem, gdzie oboje zamiłowani do pracy na roli w gospodarstwie, ogrodzie i w kierunku społecznym mieliśmy spokojną i miłą egzystencję ludzi niezależnych, a już wciągniętych w stosunki towarzyskie wszędzie.

Wieś Maków odnosiła się do dworu z życzliwością i zaufaniem. Toteż powstała tam ochronka nie tylko dla dzieci służby folwarcznej, ale i dla dzieci gospodarzy miejscowych. Każde z nas miało swój dział pracy, że byliśmy jeszcze młodzi, wesoło i pogodnie życie się toczyło.

W 1904 roku odbywały się wyścigi konne w Radomiu. Był to sezon ożywiony towarzysko i dalecy byliśmy od myśli brania na siebie nowych i poważnych obowiązków. Na tych właśnie wyścigach Hrabia August Zamoyski z Różanki, Hrabia Juliusz Tarnowski z Końskich oraz Książę Maciej Radziwiłł ze Staszowa poznawszy mego Męża w pracy społecznej w Radomskim wystąpili z propozycją objęcia zarządu Ordynacji Zamojskiej przedstawiając tę pracę jako ważną placówkę społeczną wówczas dość zaniedbaną i nieuspołecznioną. Tym przedstawieniem kwestii społecznej polskiej przy administrowaniu największej w kraju fortuny zainteresowali Ci panowie mego Męża. Gdy ta propozycja doszła do moich uszu, muszę przyznać, iż bardzo niechętnie odniosłam się do niej. Znałam dobrze mego Drogiego Towarzysza życia, najlepszego męża namiętnie kochającego pracę i rwącego się na szerokie tory pracy społecznej.

Po paru dniach nadeszła oficjalna propozycja od Hrabiego Ordynata Maurycego Zamojskiego objęcia zarządu Ordynacją. Mąż mój zaraz pojechał do Warszawy i wrócił już jako Jeneralny Plenipotent Ordynacji Zamojskiej.

Trzeba było ustąpić z osobistego mego zdania, iż lepiej i milej jest pracować na swoim zagonie i trzeba było się zgodzić, iż tylko częściowo Mąż mój do mnie i domu należy. Przyznaję, iż to była ciężka osobista ofiara. Mąż mój 1 lipca objął swoje nowe stanowisko. Ja musiałam jeszcze gospodarować i związać dom w Makowie i dopiero w październiku do Zwierzyńca na stałe przyjechałam.

Na razie bardzo obco i ciężko mi było żyć się z nowymi warunkami i nowymi ludźmi, ale uprzejmość i niezwykły urok, jaki miał hrabia ordynat, od razu otworzyły mi oczy, iż miał rację mój Mąż, ofiarując swą pracę dla Ordynacji i Ordynata.

I tak pierwsze miesiące pobytu w Zwierzyńcu poświęcone na zapoznanie się z warunkami miejscowymi, potrzebami kulturalno – społecznymi płynęły dość spokojnie i bez zanotowania szczególnych wypadków. Pierwsze chwile podniosłe, które przeżyliśmy, były dopiero po ogłoszeniu tolerancji religijnej

przez rząd rosyjski, z czym wiązało się ułatwienie pracy we wszystkich kierunkach narodowych i społecznych.

Wizytacja pasterska Diecezji Lubelskiej przez Ks. Bp Jaczewskiego – po przerwie kilkudziesięcioletniej była wielką uroczystością religijną i narodową zarazem. Pobyt u nas w Zwierzyńcu biskupa zebrał wszystkich okolicznych dzierżawców Ordynacji Zamojskiej. Zorganizowano banderę włościan, przybyła też niezliczona ilość ludu i dzieci, które bierzmowanymi były. Ilość duchowieństwa pozwoliła na spowiedź tysięcy ludzi. Witwały biskupa na granicy Ordynacji Zamojskiej bramy triumfalne, delegacje oraz nastroj radości i podniesienia ducha. Chwila ta jakby świadczyła, że coś nowego świta, że jakieś okowy pękają. Wtedy to oczekując Ks. Bpa w rozmowie z Stanisławem Moskalewskim, już wówczas znanym ze swej działalności, zapytałam jaką robotę oświatowo – społeczną mogłabym zacząć. Zdecydowaliśmy oboje z moim Mężem i panem Moskalewskim założyć czytelną pod firmą powstającej wówczas macierzy szkolnej. Prócz szkolnych książek dla dzieci były tam książki dla dorosłych. Jeden był pokój z gazetami, gdzie chętnie panie dyżurowały. Dało to możliwość zbliżenia się z robotnikami i gospodarzami wiejskimi z bliższych wsi okrażających Zwierzyniec. Na razie była jakby nieufność do każdej społecznej placówki plotki i podżegania. Była mowa o powrocie do pańszczyzny, o skasowaniu serwitutów. Różne niemądre agitacje. I choć na początek, kiedy wracałam z mego dyżuru na czytelną przeciągnięto drut, by spowodować co najmniej przewrócenie się. Chłopaczek ze szkoły, który mnie już znał, uprzedził mnie o tym, bo jak wyznał namówili mnie na to, ale ja bardzo opiekunkę kocham. Jednak dość prędko przekonali się do czytelną tak, że mieliśmy 3 tys. tomów w obiegu ku wielkiemu zadowoleniu naszych czytelników. Szkoła w Zwierzyńcu utrzymywana przez ordynata, a kierowana przez śp. ks. Stanisława Fałęckiego – wychowanka Szkoły Głównej w Warszawie była pierwszą placówką moich szczerych zainteresowań. Szkoła ta w 1904 roku została zamknięta wskutek doniesienia do władz, iż portret cara Aleksandra III był przez uczniów znieważony przekuciem oczu. Rewizja nie zastała tego uszkodzenia i szkoła rozpoczęła dalej swój bieg. Dopiero po 1905 roku wprowadzony został j. polski i wówczas szkła zwierzyniecka w pełni spełniała swój obowiązek: uczenia, wychowania, uświadamiania narodowego.

Rok 1906. Hrabia Ordynat ożenił się z księżną Marią Sapieżanką z Biłki. Hrabina Ordynatowa od razu zainteresowała się wszystkimi pracami społecznymi, które prowadziłam i przez cały czas swego pobytu w ordynacji dzieliła ze mną wszystkie trudy i kłopoty z tą pracą związane. Z wrodzoną delikatnością nie tylko nie usunęła mnie od instytucji przeze mnie rozpoczętych zarówno w Zwierzyńcu jak i w Michalowie, ale wspólnie ze mną chyba tę działalność prowadziła, co było wielką korzyścią dla sprawy samej, a dla mnie najmiłszym wspomnieniem.

W 1906 roku zaczęłam zakładać ochronki dla dzieci. Pierwszą w Zwierzyńcu, następnie w Michalowie, Żurawnicy, Hedwiżynie, Wielaczy, Biłgoraju. W Hedwiżynie ochronka mieściła się w wynajętym domu włościanina Piotra Szupra, wyjątkowo oświeconego i zacnego człowieka. Był

on w stałym kontakcie z p. S. Moskalewskim i stąd jego oświata i patriotyzm głęboko odczuty.

W rezultacie w ochronkach, które odgrywały rolę tajnych szkółek, mieliśmy 800 dzieci. Każdorazowo na pozwolenie otwarcia nowej ochronki podpisywałam cyrograf, iż: za znalezienie elementarza, kajetu, czy jakiegokolwiek dowodu tajnej nauki polskiej będę karana 5 tys. rubli kary lub 3 latami więzienia. Bóg uchronił nas od złych ludzi w policji, zapewne niebezinteresownych i byliśmy zawsze zawiadomione o przyjeździe inspektora lub żandarma. Dzieci dużo starsze niż to wolno było (wiek prekluzyjny – 7 lat) wymykały się z budynku lub pracowały w ogródku jako najem. Odwaga i zapał dzieci przeradzały się wtedy w spryt. Nieszczere to i niepedagogiczne, lecz wywołane koniecznością chwili. Pamiętam taką scenę: inspektor bardzo serdecznie dzieci pyta – A cóż wy tu robicie dzieci? Uczycie się pewnie pisać, czytać i rachować. Odpowiedź brzmiała - Oj panie inspektorze, my o to ciągle panią prosimy, a elementarz był schowany pod bluzką, a jakie piosenki śpiewacie? „Jeszcze Polska nie zginęła”? Nie „Pije Kuba do Jakuba”. Naprawdę trzeba było dużego panowania nad sobą, by utrzymać powagę i naturalny wyraz twarzy.

Główna kierowniczką ochronki była nieoceniona w pracy. Pochodziła ze szkoły Marciszewskiej z Warszawy – p. Anna Chojdzińska-Kozłowska. Dzielnie jej pomagały panie Maria Zajączkowska dotąd prowadząca ochronkę w Zwierzyńcu, Rogalska z Żurawnicy, Radzikówna w Michałowie. Z biegiem czasu i lat naszego pobytu w Zwierzyńcu stworzyły się stosunki towarzyskie z miejscowymi pracownikami Ordynacji Zamojskiej. Powstały różne instytucje i organizacje – między innymi Resursa urzędników Ordynacji i Klub. To dało możliwość urządzania imprez, zabaw i rozrywek stałych jak bilard czy nawet bridge. Zawsze jednak przez gospodarzy Klubu umiar był utrzymany i powaga instytucji szanowana. Ileż to koncertów, przedstawień amatorskich, doskonałych zabaw tanecznych, ileż odczytów i akademii przyczyniło się do stworzenia nastroju naprawdę jakby jednej rodziny rozumiejącej się i służącej dobrej sprawie.

Inicjatorami Klubu byli pp. Stanisław Moskalewski, pp. Józef Tuliszkowski, Czesław Smugeniszewski, Jan Galiński, ale rozumie się, że poparcie mego Męża i dobra wola Hrabiego Ordynata dała możliwość stworzenia tej placówki, która służyła nie tylko jako punkt zebrań towarzysko-kulturalnych, ale urabiała stosunki i ludzi zbliżała.

Z chwilą, gdy się to wszystko udało, rozwinęło się szkolnictwo w Ordynacji: szkoły w Michałowie i Cukrowni Klemensów przybrały już czysto polski charakter, choć jeszcze zawsze z wykładem języka rosyjskiego, ale wykłady religii były już jawne po ogłoszeniu tolerancji. Macierz Szkolna z prezesem panem Władysławem Prüfferem rozwijała swą działalność zakładając biblioteki po wsiach i miasteczkach. Uświadomienie Narodowe wzmogło się wówczas bardzo.

W 1910 roku założyłam Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek, które skupiło całą inteligencję Pań zamieszkujących Zwierzyńiec, Zamość oraz Panie ze wsi. Tak właścicielki większej własności jak dzierżawczynie, nauczycielki itp. W ciągu krótkiego czasu powstało na terenie Zamojszczyzny 16 kół Gospodyń Ziemianek z liczbą 940 kobiet wiejskich.

jakież miłe były zebrania, na które dojeżdżałam, tak często zapraszana przez przewodniczące Kół. Do chat wiejskich, gdzie zainteresowanie sprawami gospodarczymi, wychowawczymi, higieny i ogólnymi było tak żywe, a wszystkie wiadomości z tych dziedzin były wprost pożerane przez słuchaczki! Wyświetlanie latarni magicznej było największą uroczystością i rozrywką, bo nie było wtedy kina i radia. Gdy odwiedzałam wsie i nasze członkinie, jakież miałam nieraz dowody wdzięczności i życzliwości. Bryczka moja nappełniała się darami, których odmówić nie mogłam: chlebem, serami, piernikami, owocami. Ich wartość, intencja i szczerłość tego odruchu dawała mi największą radość. Praca coraz lepiej zorganizowana rozwijała się bardzo dobrze, aż przyszedł rok 1914.

Rok wojny światowej silnie wstrząsnął całym życiem, a więc i w ordynacji odbił się ciężkimi przeżyciami. Przygotowania do nieznanego a nawet nie tak przerażającego w umysłach ludzi XX wieku wojny, rozpoczęły się w Zwierzyńcu od kursu opatrunkowego dla Pań pod kierunkiem miejscowego lekarza dr Stanisława Moniuszki, dobrego chirurga. Pierwsze podjazdy wojsk austriackich dały nam od razu rannych. Pamiętam pierwszą amputację ręki młodego żołnierza-Słowaka. W szpitalu przygotowane były miejsca dla chorych i rannych na 50 łóżek, zaś w szkole, zamienionej na szpital, na 80 czy też 100. Zdawało się nam, iż to wystarczające jako na punkt przechodni. Większe szpitale były w Szczebrzeszynie i w Zamościu. Pierwszy sztab wojsk austriackich z generałem von Bock /prawdopodobnie nazwisko przybrane/ wjechał z całą paradą około 20 sierpnia do Zwierzyńca. Chcąc zjednać ludzi orkiestra grała hymn polski „Jeszcze Polska nie zginęła”. Dziwne uczucia ogarniały nas – zeznanie [?] iż to nieprzyjaciel ale jednak jakiś mniej wstrętny od Kozaków, którzy dopiero co opuścili Zwierzyńiec i świadomość bliskich wojsk rosyjskich i ich baterii na górze cmentarnej w Szczebrzeszynie. Dom był cały zajęty ale trzeba było zachowywać się biernie, jakby nie u siebie w domu. Wieczorem, w galowych mundurach, zaprosili nas na obiad, z naszych produktów i przez naszą służbę wykonany. Delektowali się czystym nakryciem stołu i kulturalnym otoczeniem. Trzeba przyznać, że całe otoczenie generała było złożone z ludzi dobrze wychowanych i w zachowaniu się bez zarzutów. Po obiedzie jeden z adiutantów grał na fortepianie znakomite walce wiedeńskie. Bawiła się u nas wówczas nasza kuzynka – młoda mężatka. Jeden z amatorów tańca zaprosił ją po niemiecku: Niech mi pani nie odmówi tego walca, jutro już mogę nie być z tego świata”, Nazajutrz pierwszy zginął w bitwie pod Żurawnicą.

Wieczorem generał zapowiedział mi muzykę pod moimi oknami. Wiedzieliśmy wszyscy, że grozi nam co innego. Dom cały zajęty. Pozostawiono nam dwa pokoje. Drzwi na oścież otwarte, a dom otoczony wojskiem. O czwartej alarm i w pół godziny byliśmy już sami. Zaczęto strzelać z armat od strony Szczebrzeszyna i pierwsza bitwa rozgrywała się na polach Żurawnicy. W szpitalu i w szkole zarządziłam dyżury Pań i felczera. Pierwszej nocy na około 80 miejsc zwieziono nam 300 rannych. Przepelnienie ciężej rannymi było i w szpitalu. Ranek zastał mnie przy rannych w szkole. Uświadomiłam sobie, iż ci wszyscy ranni, chorzy są bez zapasów żywności. Obliczywszy 380 osób przeraziłam się myślą, czym ich nakarmić. Moja spiżarnia zupełnie ogołocona przez Kozaków przed nadejściem wojsk

austriackich, drób wybity, a z 4 krów została jedna. Dałam nać do zorganizowanych w Kołach Gospodyń Ziemiarek. W ciągu dnia zniesiono tyle zapasów mleka, chleba, mąki, kasz, jaj, sera, iż wystarczyło nam na 3 dni, dopóki nie nadjechały treny ze szpitalami wojskowymi, dostawami i kuchniami polowymi. Ale liczba rannych wzrosła do 1600 osób. Wszystkie budynki: biuro, klub, ochronka, baraki na Rudce, zajęte zakaźnymi chorymi na czerwonkę i różę, poczta nawet, wszystko zawałone rannymi. Między paniami zamieszkałymi w Zwierzyńcu było 16, które ofiarowały swą pracę w szpitalach, ale tylko 3 mogły przy operacjach i ciężkich opatrunkach asystować między innymi i ja tam byłam. Wytrzymałam 18 amputacji rąk i nóg, trepanacji naturalnie bez narkozy tylko pod lekkim znieczuleniem. Dużo z tych biednych operowanych wyszło z tych ciężkich opresyj, ale iluż oczy zamykałam i wysłuchiwałam ostatnich próśb i poleceń dla rodzin, których dać znać o śmierci synów, mężów, narzeczonych, nie mogłam zaraz, a dopiero dużo, dużo później.

Notuję dziwny zbieg okoliczności. Rano o 6 przyszłam do szpitala, po nocy przespanej w domu. Noc ta nowych rannych nam przysporzyła. Obchodząc salę zauważyłam nowa twarz mi znaną. Cicho jęczał ranny. Nachyliłam się, by usłyszeć szept ledwie dosłyszalny. Zrozumiałam z kilku słów, iż był to żołnierz pochodzący z Ukrainy, moich stron rodzinnych – Kijowszczyzny. Westchnienie żołnierza było do matki. Przemówiłam do niego w znanym mi narzeczu ukraińskiej mowy. Otworzył szeroko oczy i zapytał: Zwitkil w Paci (skąd pani jest).

Odpowiedziałam mu, że tu mieszkam, a pochodzę ze wsi Koszara w kijowskiej guberni. Jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałam, że on również z tej wsi pochodzi. Z dalszych rozmów okazało się, iż służył jako chłopak przy starym zasłużonym przy naszej rodzinie lokaju w domu moich rodziców. Pamiętał imiona mego młodszego rodzeństwa. Od tej chwili nie chciał mnie puścić od swego łoża boleści. On był ciężko ranny. Wszystkie moje starania nie utrzymały go przy życiu. Oddał mi swoje papiery i trochę pieniędzy, które po jakimś czasie wręczyłam jego matce. Nie da się opisać wszystkich wzruszających scen i przeżyć, którymi ta straszna wojna doświadczyła każdego z nas. Doktor, przy którym najwięcej asystowałam, był jednocześnie komendantem Zwierzyńca w randze pułkownika i chciał mnie dekorować Orderem Świętej Elżbiety. Ledwo wymówiłam się od tego honoru. Sytuacja zmieniała się dla Austriaków na gorsze nadciągały złe wieści z Lublina i Kraśnika. Tu dla nas rozpoczęły się znów ciężkie chwile. Mąż mój otrzymał rozkaz od sztabu austriackiego stworzenie tajnej poczty przez lasy ordynackie. Od leśniczych zacząwszy do nadleśniczych z wymieniem nazwisk i miejscowości. Była to propozycja równająca się zdradzie względem wrogów Rosjan, ale w żadnym razie nie dla przyjęcia dla człowieka tej miary, jakim był mój Mąż. Na oczach wysłanników austriackich wojsk zawezwana byłam i tu życzliwe nastawienie doktora komendanta do mojej pracy nad rannymi dało rezultat, bo pozwolono mi towarzyszyć memu Mężowi. Wyjechaliśmy ze Zwierzyńca zrozpaczeni, ale też zostawiliśmy mieszkańców Zwierzyńca w wielkiej depresji niepokoju. Bryczką, w towarzystwie dwóch żandarmów, i dwóch ich ogromnych psów dogów odwieziono nas do Jarosławia. Stamtąd widocznie skutek listu z dobrą o

nas opinią, skierowali nas, na naszą prośbę nie do Ischlu, jak to było zdecydowane, ale do Zakopanego. Zawsze pod opieką żandarmów i ze szczegółową rewizją naszych szczupłych walizek z rzeczami.

Ciężki był ten przymusowy pobyt w Zakopanem. Myśl o pozostawionych bliskich i życzliwych współpracownikach w Zwierzyńcu, o rodzinie w Warszawie i w różnych miejscowościach pod różnymi okupacjami ogromnie nas gnębiła, jak również i odpowiedzialność za sprawy Ordynacji Zamojskiej, tak przez mego Męża głęboko odczuwana. Wszystko to odbiło się na jego zdrowiu i nerwach. Lecz i na tym wygnaniu beczynnym potrafiliśmy egzystować. Utworzył się komitet pomocy dla zaskoczonych wojną podczas pobytu lub kuracji w Zakopanem pochodzących z Królestwa. Nędza była straszna. Niektórzy bez grosza, chorzy, zadłużeni w pensjonatach i hotelach. Bawiący w Zakopanem Marszałek Galicji oraz pp Niezabitowski i Korytowski ofiarowali komitetowi dość znaczną pomoc materialną. Wiele, wiele dobrego tą drogą komitet mógł zdziałać. (dr. Pawińscy, dr. Szumlakowscy z Warszawy). Tak przetrwaliliśmy aż do grudnia, kiedy wreszcie otrzymaliśmy przepustki przez Bukareszt, Kiszyniów na powrót do kraju.

Tu na granicy rosyjskiej mieliśmy niemiłą przeprawę, ale zarazem zabawną. Wywiezieni ze Zwierzyńca przez okupantów Austriaków nie mogliśmy mieć żadnych paszportów oprócz zwykłych dowodów osobistych. Mąż mój miał wszak paszport do wielokrotnych przejazdów ze względów na część Ordynacji Zamojskiej leżącej w Galicji, i to posłużyło jako prawo wjazdu do Rosji. Mnie zaś na granicy zatrzymano, jako pozbawioną dokumentu na prawo przekroczenia granicy. Siedziałam okropnej dziurze, razem z całą gromadą aresztowanych osób, przeważnie złodziei. Mąż mój szukał tymczasem sposobu uwolnienia mnie z tej niemiłej sytuacji. Po kilku godzinach, do lokalu, gdzie nas trzymano, wszedł okropny rudy Żyd i bardzo serdecznie przywitany przez dyżurującego żandarma zaniósł prośbę, by mu bardzo dobrze znaną osobę – Eleonorę Czarnowską, na jego zaręczenie, że nie ucieknę i pozwolił przenocować w wagonach. Pociągbowiem nas wiozący czekał na załatwienie formalności z jadącymi do Rosji. Moje zdziwienie z tej znajomości z Żydem było ogromne i ubawiłam się bardzo. Opiekun ten wyprowadził mnie z lokalu, a za progiem czekał mój Mąż. Okazało się, że trzeba było telegraficznie z Kijowa tożsamość mojej osoby otrzymać. Dało to się szybko uzyskać, bo rodzina moja znaną była w Kijowie. Z radością opuściliśmy stację Kiszyniów, okropnie brudną i przepelnioną ludźmi różnego gatunku.

Po tej wędrówce wojennej, w której straciliśmy wszystkie od razu rzeczy, oddano nam bagaż, gdyż do przepelnionego wagonu nie można było większych pakunków zabierać. Wprost z Kijowa przyjechaliśmy do Zwierzyńca. Jakaż to serdeczna radość był dla nas, bo powitani byliśmy tu naprawdę, jak przez kochającą rodzinę. Był to rok 1915.

Zastaliśmy nastrój wojenny. Dużo ludzi zabrakło, dużo zgnębionych było utratą bliskich. Niepewność losów nie tylko osobistych, lecz troskę, co ze sprawą Polską będzie. Legiony powstałe pod wodzą Józefa Piłsudskiego rozbite inni rozproszeni. Kraków pod obstrzałem wojsk rosyjskich. Huk armat dochodził aż do Zwierzyńca z odległego Przemyśla. Zwykły tryb życia

w instytucjach, szkołach, ochronkach przerwany. Jednak ciągle była jakaś praca ratownicza. Chorych na tyfus brzuszny mieliśmy pod pełną ochroną, a doktor rezydował u mnie.

Takie życie szare i smutne przewlekło się do maja i tu nagle zacięły odgłosy artylerii. Nadchodziły wieści nie tak pewne, bo pantoflową pocztą, że wojska rosyjskie się cofają spod Gorlic i niszczą wszystko po drodze, a ludność nahajkami wsi i miast wypędzają.

Zaczęły ciągnąć przez Zwierzyniec straszliwie rozbite oddziały wojsk, które wyglądały na włóczęgów, a nie na wojsko. Żołnierze obładowani kradzionymi jako zdobycze wojenne dywanami, futrami, biżuterią, proponowali kupno tych rzeczy za grosze. Jak jeszcze obcą była psychika wojenna, to dowód, że tylko Żydzi kupowali przedmioty, a Polacy, odczuwając krzywdę swych rodaków w Galicji wzdrygali się przed tym handlem. Ja sama wypędziłam kilkakrotnie proponujących mi kupno cudownego dywanu i futer. A złe to były rozumienia, bo kupiwszy można to było oddać właścicielom. Potem takie wypadki obijały mi się o uszy.

W połowie maja wojska już regularnie obsadziły Zwierzyniec, zapowiadała się bitwa. Kozacy napierali na mieszkańców, by opuszczali miejscowość. Dużo ludzi skryło się po lasach lub lawirowało wokół Zwierzyńca przewidując szybkie cofnięcie się Rosjan. My przenieśliśmy się do opustoszałego Klemensowa, gdyż Hrabstwo Ordynatorstwo Zamojscy z małymi dziećmi wyjechali do Białej Cerkwii Hrabstwa Branickich miejscowości, która wydawała się zupełnie bezpieczna – Kijowska Gubernia. Zaledwie kilka dni w Klemensowie przebyliśmy, kiedy w nocy, cofające się wojska zajęły cały pałac. Park i wielki dziedziniec pełen był wojska. Hałas i dobijanie się do drzwi przerywały i tak nie bardzo spokojny nasz sen. Pierwszym zapytaniem do Męża mego było gdzie i kiedy wyjeżdżamy bez uwzględnienia jakichkolwiek potrzeb i nieruszania się z Ordynacji. Trzeba było kilku godzin, by załadować wóz. Wybrawszy trochę rzecz, parę materaców i koców przewidując noclegi na dworze. Mieliśmy pod opieką dwóch młodych chłopców, Dorantów (dziś jeden w randze majora, drugi ukończone dr medycyny). I tak znów rozpoczęła się przymusowa wędrówka do Krasnegostawu. Noga za nogą, w ścisłości ewakuowanej ludności i byłą pędzonego za wozami, wojsk, trenów i armat. Widok straszny i rozpacz ludzi rozdzierała serca. W nocy w Krasnystawie rozpoczynały się naloty aeroplanów niemieckich, mało licznych, ale bardzo budzących panikę. Tak z trzema noclegami w różnych okolicznościach i warunkach dojechaliśmy do Różanki Hrabiego Augusta Zamojskiego. Tam odpocząwszy kierować się trzeba było do najbliższej stacji kolejowej w Kobryniu. Przy wjeździe do tego miasteczka dowiadujemy się, iż wybuchła tam cholera. Trzeba więc okrążyć miasto do stacji kolejowej. Niemiłe to wrażenie. Szczęściem, iż pociąg niedługo nadszedł i choć z trudem i z wielkimi niedogodnościami puściliśmy się w drogę do Kijowa, gdzie najłatwiej nam było osiedlić się, bo to strony rodzinne, a więc dużo ludzi znanych nam i życzliwych.

Był to rok 1915 przemieszkaliśmy w Kijowie do 1917 r. W ciągu tego czasów różne wyjazdy w interesach Ordynacji Zamojskiej, dla otrzymania różnych wypłat i sum wywiezionych dały nam jasny obraz tego, co się zaczęło dziać w Rosji. Jeden z wyjazdów był jeszcze możliwy do Warszawy na 24 godziny

przed samym opuszczeniem jej przez wojska rosyjskie. Pamiętam wieczorem widok Placu Saskiego dziś Plac Marszałka Piłsudskiego, z olbrzymią cerkwią pośrodku, obsypanego spalonymi papierami archiwum sztabu. Jakieś nieopisane uczucie, że dla Polski się musi spod tych popiołów nowe życie obudzić.

Już wracać zwykłą drogą z Kijowa do Warszawy nie wolno było. Skierowaliśmy nasz wyjazd do Moskwy, gdzie zresztą interesy Ordynacji powołały mego Męża.

Jakże ciężkie i niewygodne było to nasze przymusowe wygnanie, choć Kijów i Ukraina były naszym rodzinnym miejscem, bowiem majątki ziemskie rodziny mojej leżały w Guberni Kijowskiej – Koszara, Tymoszwówka, Bandurowa (powiat Czechryński)

Kijów, gdzie osiedliliśmy się na nieograniczony czas, zaludnił się nowymi wygnańcami. Trzeba było stworzyć pomoc dla bezdomnych i dzieci oderwanych od rodziców. Panie, stałe mieszkanki Kijowa, ofiarnie i energicznie do pracy się zabrały. Byłam powołana do jednego z tych schronisk z pp. Michałowskiemi, Fudakowskiemi i panią Horwatową, nieocenioną organizatorką tanich i domowych obiadów. Ileż ludzi przewinęło się przez długi okres do 1917 roku, kiedy opuściliśmy Kijów nie potrafię określić, w każdym razie to nie setki, tylko tysiące.

Zaczęły się formować Jednostki Wojsk Polskich. Pamiętam święta wielkanocne, gdy zanieśliśmy święcone dla polskich żołnierzy, co za wrażenie. Radość, a jednocześnie niepokój o dzieci nasze. Miałam szczęście, iż mnie powierzono przemówienie do żołnierzy. Jednym z wielu darów Bożych, z których trzeba jako z talentów zdać sprawozdanie, czyśmy je zużyli na chwałę Bogu i dobro ludzi. To był mój głos i łatwość słowa. Popłynęły więc one sercem gorąco czującym i ożywione wielką miłością Polski. Łzy radości i podziękowania żołnierzy były wielką pociechą za trudy, bo mi się aż słabo zrobiło po tym wysiłku nerwów i woli.

Szpitalne napelnione rannymi Polakami były też terenem naszej pracy. Między innymi byli już żołnierze zatruci gazami i szczególnie płucne choroby ciężkie były do uratowania. Ale był to jeszcze sezon najlepszy z naszego pobytu.

Z początkiem 1917 roku zaczęły się manifestacje, pochody wolnościowe, które nie wróżyły nic innego, jak bolszewickie wpływy przez Żydów podsycane. Pod hasłem niby wolności obywateli i braterstwa w gruncie rzeczy nienawiścią, grabieżą i walką klas nacechowane wystąpienia.

Kilkakrotne wyjazdy mego Męża, któremu zawsze towarzyszyłam do Moskwy, dały nam możliwość zaopatrywania się w produkty, których brak był już tak wielki, że przywiezione przez nas zapasy sucharków, kawy, herbaty i cukru były przez znajomych naszych mieszkających w tymże hotelu witane jako prawdziwe specjalności. Usługa w hotelu strajkowała, samemu więc trzeba było sprzątać pokój, a w restauracji, gdzie jedynie kucharze jako przedsiębiorcy na własną rękę marne jedzenie przyrządzali. Naczynia stołowe stosami leżały w zmywalniach chodziło się je więc myć, by mogły być użyte do spożycia obiadu. W tym okresie ciężko zachorował mój brat, Edward Rościszewski, właściciel naszego rodzinnego majątku Koszara. Musiałam na dłuższy czas do niego pojechać. Wspominam to dla zanotowania nastroju wsi i jej mieszkańców, którzy wówczas tak blisko już

rewolucji bolszewickiej okazywali całą życzliwość, a wielu miejscowych chłopów przywiązanie i szacunek dla mego brata. Prawda, że opiekowaliśmy się rodzinami, których ojcowie i synowie byli wzięci do wojska, ale nigdy nie wyczuliśmy wrogiego nastroju w tych ludziach, którzy wkrótce potem palili i grabili nazywając dom naszych Rodziców: „gniazdem szerszeni”

Ten dom, który zawsze niósł pomoc potrzebującym, leczył chorych, przygarniał sieroty. Matka nasza padła ofiarą leczenia chorego na tyfus i sama zaraziwszy się umarła jeszcze przed wojną. Brat mój powołany został do wojska. Koszara opustoszała i już nikt z nas do niej nie wrócił. Wiemy, iż dom spalony i całe obejście zniszczone jedynie gorzelnia i rektyfikacja trzecia co do wielkości w Rosji dotąd funkcjonują. Ciężko myśleć o tych rodzinnych stronach, o drogich łąkach, gdzie się wyrosło, ukształtowało pod pieczę Najdroższych Rodziców serce i umysł, gdzie nas nauczono kochać Boga, Polskę i bliźnich. Lepiej, że dom spalony, że obca i wroga stopa nie depce tych drogich i naprawdę świetlnych śladów, a jednak czasem wielka żalność i tęsknota szarpie serce.

W początkach października 1917 roku postanowił mój Mąż powrót do kraju - przez Petersburg, Finlandię, Szwecję. Już w Kijowie nie było co robić, a atmosfera coraz wyraźniej wskazywała na rosnącą burzę, bolszewicki terror i zezwierzęcenie. Majaczyło się już wyraźnie, że z tego chaosu Polska zmartwychwstanie, a wtedy trzeba być w Polsce na stanowisku. Zostawiając więc w Kijowie najbliższych sercu naszemu siostrę i szwagra z dziećmi, brata w wojsku i wielu krewnych i przyjaciół, wyjechaliśmy do Petersburga. Tam załatwiwszy sprawy z Ordynacją Zamojską i zebrawszy resztę możliwie uzyskanej indemnizacji zawiezione w głąb Rosji papiery wartościowe nasze osobiste (Rostow nad Donem) ruszyliśmy w drogę, nie wiedząc jak długo trwać ona będzie. W Petersburgu byliśmy właśnie w chwili podchodzenia wojsk Kornilowa, cesarz Mikołaj II rzekł się tronu w pociągu, który przeciął nam drogę do Petersburga i zatrzymał na przeszło 24 godziny. W mieście panował już głód. Przez trzy dni żyliśmy jedynie jednym zdobytym kawonem i sucharkami, które z sobą przywiozłam.

Mieliśmy pod swoją opieką siedmioro dzieci: dwoje Fudakowskich i pięcioro Rostworowskich z bardzo dobrymi oddanymi opiekunkami. Ale zdobyć żywność i choć trochę mleka dla dzieci było prawie bohaterstwem. Dojeżdżałam co dzień do podmiejskiego Peterhofu, gdzie mieszkali bardzo nam przyjaźni pp. Jakubowscy, którzy mieli własną krowę i od nich butelkę mleka dla dzieci otrzymywałam. Dzieci przed nami wyprawiliśmy wprost do Sztokholmu, gdzie miały zamówiony lokal. Doznaliśmy wielkiej uprzejmości od Ambasadora Hiszpanii. Dzięki pani Lutosławskiej, znanej literatce (Zofii Cossanova) Hiszpance, która wszystko cośmy mieli cennego przez Ambasadę Hiszpańską nam przesłała. Na granicy rewizje były tak ostre i tak bezwzględne, że nic przewieźć legalnie nie można było. Jednak szczęśliwie przez Finlandię, gdzie odwiedziliśmy bawiącą tam z dziećmi Hrabinę Ordynatową Zamojską, która też do Sztokholmu w parę dni podążyła, przebyliśmy drogę bardzo niewygodną, ale już w spokojniejszej atmosferze. Echa tylko coraz głośniejsze i potworniejsze w swej dzikości zatruwały nam spokój.

Pobyt w Szwecji przeciągnął się do lutego 1918 roku. Uzyskawszy różne konieczne przepustki i dokumenty wyruszyliśmy przez Niemcy do Wiednia. W tym okresie Zwierzyniec i całe lubelskie było pod okupacją austriacką. Z Wiednia więc przez Galicję, nowo zbudowaną koleją z Rawy do Rejowca dojechaliśmy do domu. W Wiedniu spotkało nas dwóch urzędników Ordynacji Zamojskich. Radość z powitania bliskich nam ludzi była ogromna. Jednocześnie otrzymaliśmy wiadomość o podpisaniu traktatu brzeskiego. To ostatnie nas bardzo przygnębiło, bo nadzieja polskich granic wydawała się niezniszczalna.

Dom nasz w Zwierzyńcu zajęty był przez władze austriackie. Nam przygotowano nocleg w biurze. Parę tygodni spędzonych w tym prowizorycznym mieszkaniu dało możliwość memu Mężowi wejść w bieg interesów przez tyle lat, bo od 1915 roku prowadzonych z całym oddaniem przez zastępców. Szczególnie p. Pröffera – naczelnika lasów, p. Grabkowskiego – administratora rolnego i p. Wyszyńskiego – dyrektora cukrowni.

Nie można było zorientować się w sytuacji politycznej, a pozostawało nam już tylko parę miesięcy do opuszczenia przez okupantów naszej ojczyzny. Zamieszkaliśmy więc na pół roku w Klemensowie, a Mąż mój dojeżdżał do różnych punktów administracji. Rozpoczęła się znów intensywna praca, by odbudować to, co wojną zniszczone było. Odnowić dawne prace społeczne a nowe placówki dla Polski tworzyć.

Szkoły, ochrony wróciły do normalnych prac. Mijał czas w ciągłym napięciu, co wyłoni się z tego chaosu wojennego, który już się chwiał. Listopad 1918 roku zastał nas jeszcze w Klemensowie. Wiadomość o rozbrojeniu Niemców w Warszawie, Austriaków w Lublinie i Zamościu odbiła się natychmiast i w Zwierzyńcu. Dom nasz opuszczony przez Austriaków był tak zniszczony i zabrudzony, iż zamieszkać w nim niepodobna było. Trzeba było przystąpić do remontu i jeszcze dzielić swój czas między Zwierzyniec, Klemensowem a Warszawą. Wszędzie czekało tyle pracy i zadań do spełnienia już w Wolnej Polsce, iż naprawdę moc ducha i sił fizycznych należy przypisać woli Bożej, która Polskę wskrzesiła, iż jej wiernym dzieciom dodała energii i twórczości.

Zatem rozpoczęła się rewindykacja kościołów katolickich zabranych przez Rosjan na cerkwie. Dawne kościoły unickie, które wraz z przejściem na wiarę katolicką obrzędu łacińskiego całej ludności z przymusu prawosławnej, również wracały do Kościoła Katolickiego. Pierwszą taką uroczystością było poświęcenie kościoła w Kosobudach niesłychanie wzruszającą, a zarazem dziwnie radosną. Widok nieprzebranych tłumów ludności, która wycierpiała tyle prześladowań, a która teraz już mogła bez zastrzeżeń wiarę swą wyznawać pozostanie nigdy niezapomnianym.

Kościół katolickie na nowo otworzyły swe bramy w Szczebrzeszynie, Zamościu, Topólczy, Terespolu. Duża to była praca dla duchowieństwa naszego, ale i ludność przyczyniała się ofiarnie do tego przez całe lata upragnionego, katolickiego życia parafialnego.

Jednocześnie z tą akcją rozpoczęła się praca zakładania szkół powszechnych. Zostałam powołana do Okręgu Szkolnego powiatu Zamojskiego, jako prezeska. Wszystkie trudności ze zorganizowaniem tego na razie prowizorycznego szkolnictwa niosłam wraz z całą grupą osób ofiarnych, ale

cytuje tu tylko te nazwiska, które po tym już w Polsce Niepodległej odgrywały rolę: Pan Pytlakowski, później Kurator Okręgu Warszawskiego, gdzie już na tym wysokim stanowisku spotykałam go znów w sprawach szkolnych, Pan Rataj, b. Minister Oświaty oraz Marszałek Sejmu wówczas byli moimi współpracownikami w tej pracy społecznej. Szkoły mieściły się w wynajętych izbach, w chatach wiejskich. Rzadkim wypadkiem był budynek po szkole rosyjskiej. Nauczyciele byli przygodni bez wyraźnego cenzusu, ale ludzie pełni zapału i ofiarności w pracy prowadzonej w niezmiernie trudnych warunkach.

Czy można by było tę pracę palącą rozwinąć i organizować, gdyby nie wydatna pomoc Ordynacji Zamojskiej, tej wspaniałej instytucji, której mandatariuszem był Ordynat, a która w swym charakterze była wielką instytucją służącą Polsce. Zawsze z dobrą wolą Hrabiego Ordynata i z naprawdę genialną administracyjnie głową mego Męża. Dzięki założonej w 1906 roku, dla upamiętnienia 300 -lecia Hetmana Jana Zamojskiego, Kasie Emerytalnej Urzędników Ordynacji ileż to młodzieży kształciło się w średnich i wyższych uczelniach, ilu z nich jest dziś na wysokich urzędach i odpowiedzialnych stanowiskach. Tego społeczeństwo nie doceniało i nie docenia. A jednak piękną jest historia Ordynacji nie tylko z czasów jej Założyciela, ale i w tych nowszych, przeżytych podniosłych chwilach odrodzenia Polski.

Lecz wojna nie była zakończona. Lwów walczył o swe życie polskie. Czerwony krzyż, którego byłam przewodniczącą na powiat Zamojski rozpoczął swą działalność. Czołówka sanitarna złożona z 6 wozów z całym urządzeniem dla przewożenia rannych i sanitariuszem, nauczycielem – ochotnikiem ze szkoły ze Zwierzyńca wyruszyła na pomoc wojskom naszym do Rawy Ruskiej i dalej. Założyliśmy kantinę dla przejeżdżających wojsk przy stacji kolejowej w Zwierzyńcu, wagon sanitarny jako punkt opatrunkowy postawiliśmy na stacji Zawada, zorganizowaliśmy kilkakrotne dojazdy na front z prowiantami świątecznymi dla pułku w Rawie Ruskiej. Sama z p. Moskalewskim pojechałam, by tę małą niespodziankę wręczyć brygadierowi Barbeckiemu, dzisiaj tak znanemu generałowi prowadzącemu całą akcję ofiarności na rzecz ochrony przeciwlotniczej. Pomoc żywnościową dla szpitali w Zamościu i Szczepieszynie prowadziłam z zacynymi pomocnicami moimi, paniami ze Zwierzyńca. Ile radości i zapału budziła każda impreza dla zdobycia funduszy, tak nieodzownych dla każdej pracy społecznej. Dotąd zachowuję wdzięczność w sercu dla tych, którzy nam tak pomogli w każdej pracy i nic dziwnego, iż lata spędzone w Zwierzyńcu zaliczam do najmiłszych wspomnień.

Wspomnę jeszcze o akcji dożywiania dzieci w szkołach i w ogóle na wsi. Weszłam w porozumienie z Komitetem Pomocy Dzieciom tak hojnie zasilanym w produkty żywnościowe amerykańskie. Ileż to dzieci polskich uratowanych było od ciężkich skutków niedożywiania i ile tych błogosławionych pak, worków i puszek przeszło przez ręce nasze do wsi otaczających Zwierzyniec, nie potrafię dziś określić. Było to bardzo, bardzo dużo, ale pracy z tym też było niemało.

Wreszcie na Wielkanoc 1919 roku przenieśliśmy się do naszego mieszkania w Zwierzyńcu tzw. „Na górze”.

Ostatni ten rok jako zakończenie 16 lat pracy mego najukochańszego Męża w charakterze Jeneralnego Plenipotenta Ordynacji Zamojskiej powinien być znaleźć swą poważną oddzielną monografię tak zasług Ordynata działającego wówczas w Paryżu, w Rządzie Narodowym, jak i mego Męża reprezentującego tę najpiękniejszą fortunę polską w kraju. Polska powstając do niepodległego bytu dużo od tych swych najlepszych obywateli ofiarności i twórczej pracy otrzymywała.

Dojazdy do Warszawy i stykanie się z ówczesnymi naszymi władzami były nieraz bardzo trudne i bolesne, bo nie odczuwało się jedności i podtrzymania najlepszej woli służenia państwu polskiemu, ale to nie gasiło zapału tylko wyrabiało wolę i hart. Wszak się pracowało dla Polski tej wymarzonej ukochanej Ojczyzny oddanej nam przez Boga, cudem chyba za zasługi tych naszych Męczenników z 1830 i 1863 roku oraz tych, co z naszego pokolenia dla Ojczyzny życie oddali.

W ciągłym ruchu i społecznym płynęło życie w Zwierzyńcu. Wszystkie instytucje jakby krzepły i rozwijały się w poczuciu niewymownej radości i tym większej odpowiedzialności, iż się pracuje w odrodzonej Polsce, że każda dziedzina pracy musi mieć swoją wagę, mocne podwaliny i program, by coraz silniej i owocniej służyć tej bardzo drogiej, wielkiej rzeczy, jaką jest państwo swoje rządy, swoja administracja, swoja oświata. Z tego wypływają siły moralne, materialne, ale oparte o Boga o Kościół Katolicki. Zaznaczyliśmy, iż pozostać musimy, jako przedmurze Chrześcijaństwa, w tej groźniejszej sytuacji, że mamy na wschodzie bolszewicką Rosję a na zachodzie choć na razie podbitych, ale niechętnych sąsiadów niecieszących się naszą niezależnością, z lekceważeniem i bez zastrzeżeń krytykujących powstającą w trudzie i ofiarności patriotycznej Polskę. My wszyscy, związani z Ordynacją Zamojską, patrzyliśmy z radością i wdzięcznością na ofiarną pracę, poważną rolę, dziś mało znane i doceniane wielkie zasługi Ordynata Maurycyego Hrabiego Zamoyskiego w Paryżu.

W październiku 1919 roku dojechaliśmy do Paryża i osobiście widzieliśmy całą drogą nam rodzinę Ordynatorstwa Zamojskich na placówce dyplomatycznej polskiej. Dom Ich gromadził wszystkich Polaków. Urok Hrabiego Ordynata w Obcowaniu z ludźmi, tam na obczyźnie jeszcze bardziej jedną przyjaźń do Polski, a kultura i umiar we wszystkim, co go otaczało umacniało opinię, iż Polska przebywszy 150 lat niewoli nie straciła swojej swoistości, która ją zawsze stawiała na równi ze wszystkimi potężnymi krajami Europy.

Mąż mój bardzo strudzony przejściami wojennymi postanowił odbyć kurację w Paryżu, która mu dodała dużo sił i energii po powrocie do Zwierzyńca. Na nieszczęście na krótko. Święta Bożego Narodzenia to była już ostatnia chwila naszego domowego szczęścia, ale też i szczęścia Rodziny Zwierzynieckiej. Żegnaliśmy uroczyście p. S. Moskalewskiego, długoletniego sekretarza Plenipotenta a jednocześnie znanego i szanowanego działacza społecznego. Pan Moskalewski powołany na Wojewodę Lubelskiego po rządzie Daszyńskiego i Moraczewskiego, miał ciężką i odpowiedzialną pracę, jego działalność, zasługi, ofiarności na rzecz ruchu narodowego powinna znaleźć specjalnie opracowaną kartę w historii odrodzonej Polski a i czasu niewoli, gdzie trzeba było poświęcenia i samozaparcia z narażeniem swojej osoby na

liczne niebezpieczeństwa. Duża praca w pomocy Unitom, prześladowanym przez władze rosyjskie duchowieństwo prawosławne jest jedną z nieznanych kart działalności śp. S Moskalewskiego, a ja jako wielokrotny świadek tego czuję się w obowiązku o tym w kilku słowach wspomnieć. Po Trzech Królach już 1920 roku Mąż mój musiał do Warszawy w interesach Ordynacji jechać. W Zwierzyńcu wybudowana linia kolejowa Bełzec – Rejowiec przeszła po wyjściu okupantów w ręce polskie. Ale łatwo sobie wyobrazić, jaki to jeszcze wojenny tabor był na tej linii. Jaki ścisk przejeżdżającej ludności cywilnej oraz oddziałów wojska naszego z frontu Lwowskiego. Z tej to przyczyny zaofiarowano memu Mężowi, jako Plenipotentowi Ordynacji Zamojskiej, wagonik salonowy naczelnika ruchu za normalną cenę biletu do Warszawy. Korzystając z tej dogodności kilka osób z moim Mężem tym wagonem jechało. Między innymi sekretarz mego Męża pan Galiński oraz siostrzeniec nasz, który bawił u nas przez święta Bożego Narodzenia Henry Knatowski. Na stacji Minkowice przed Lublinem zapaliła się oś wagonu. Wszyscy pośpiesznie musieli się przenieść do wagonów 3 klasy, jedynych w składzie pociągu. Ciasnota okropna była przyczyną propozycji konduktora, który uprzejmie otworzył przedział konduktorski na 4 osoby. Na nieszczęście był to przedział, który wilią tego dnia odwożono chorych na tyfus plamisty do szpitala w Chełmie, a wagon szedł do dezynfekcji i z braku miejsc był przepełniony jadącymi w stronę Dębina. To było przyczyną zarażenia się wszystkich 4 osób towarzyszących memu Mężowi.

Po tygodniowym pobycie w Warszawie podczas którego Mąż mój nie czuł się już dobrze nastąpił powrót do Zwierzyńca. Jeszcze choroba nie była rozwinięta. Tak, iż mój Mąż 19 stycznia był jeszcze w biurze, ale powrócił wcześniej niż zwykle narzekając na silne dreszcze i ból głowy. Od tej chwili choroba piorunująco się rozwijała i mimo iż nie tracił przytomności zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa swego życia i dlatego całym wysiłkiem woli i energii dawał odpowiednie zarządzenia. Między innymi kazał mi pisać telegram jakby pożegnalny do Ordynata.

Dnia 31 stycznia o godzinie 2 w nocy zmarł po swym zacnym, pracowitym i ofiarnym życiu. Przytomnym będąc sam zażądał sakramentów świętych, bo tak jak z krzyżem żył całe życie, tak i umierał jako wierny syn Kościoła Katolickiego, dobry Polak i człowiek o wielkim sercu.

Przytaczam tu wypis różnych wprowadzonych organizacji prze mojego Męża i ulepszeń w Zwierzyńcu w administracji miejscowej, by nie umniejszyć jego działalności, bo więcej o sobie niż o nim w tych wspomnieniach pisałam. Zwierzyniec w chwili, gdyśmy tam zamieszkali był dużą osadą, ale kultury mało w niej można było zauważyć. Z biegiem czasu wszystko, co stanowiło potrzeby życiowe było wprowadzone.

Najpierw cmentarz, gdyż w razie śmierci wiozło się ciało po niemożliwej drodze do Szczepieszyna. Szpital na 25 łóżek stałych z doktorem i apteką na miejscu.

Straż pożarna była doskonale zorganizowana i tak potrzebna, gdyż przy gęstym zabudowaniu Zwierzyńca, Rudki i wsi okolicznych tyle niosła pomocy i ratunku.

Kasa oszczędności i pożyczkowa oraz Kasa Emerytalna dla Urzędników, ta instytucja przyjęta była z wielką wdzięcznością i uznaniem przez

pracowników Ordynacji Zamojskiej. Pamiątkowa fotografia została przeze mnie po śmierci mego Męża ofiarowana do Klubu Urzędników ku wiecznej pamiętce.

Założono park i mniejsze zieleńce, z których jeden statua Matki Boskiej upiękaszony, nazwany był nawet moim imieniem „Eleonorówka”. Dawniej był to śmietnik, który przykre wrażenie robił i rozsiewał złe powietrze. Nie wspominam o wszystkich budowlach na całym terenie Ordynacji za czasów mego Męża przeprowadzonych, bo to należało do jego obowiązków Plenipotentą. Ale jakże się zmienił wygląd folwarków dawniej dzierżawionych przez Żydów, których w krótkim czasie Mąż mój zlikwidował. Przybrały one wygląd kulturalny, odpowiadający powadze Instytucji, jaką była Ordynacja. Zorganizowano klub i resursę urzędników, biblioteka pism oraz rozrywki godziwe jak: tenis, zimą ślizgawki i inne. Wszystko to razem wzięte stworzyło całość tchnącą dobrobytem i uwzględnieniem wszystkich potrzeb życia ludzi pracujących. Toteż naprawdę wielkie było przywiązanie pracowników Ordynacji do swego terenu pracy.

Tak się zakończył 16-letni okres pracy naszej w Ordynacji Zamojskiej. Ile miałam dowodów współczucia, żalu, prawdziwie szczerego oddania od wszystkich, którzy znali i doceniali wartość mego śp. Męża trudno byłoby mi jakąś cyfrą określić. Probiierzem, jaką pamięć po sobie pozostawił niech będzie dowód, iż po 19 latach po śmierci mego Męża Karola Czarnowskiego – Jeneralnego Plenipotentą Ordynacji Zamojskiej, mam ciągle dowody uznania i wdzięcznej pamięci dla niego, a przelania tej życzliwości na mnie. Zostałam w Zwierzyńcu po tym wielkim nieszczęściu moim do 1 lipca chcąc oddać i uporządkować wszystkie prace i instytucje pod moją opieką i z moim współudziałem powstające.

Na zakończenie pozwałam sobie podać tekst pożegnalnego listu, który podpisany przez wszystkie instytucje działające na terenie Zwierzyńca został mi wręczony.

„Dnia 20 czerwca 1920 roku

Czcigodna Pani

Spółceństwa utrzymują się na danym poziomie swego rozwoju i dążą do osiągnięcia wyższej kultury, szlachetnych celów nie przez bezwładne swe muzy, ale dzięki lepszym jednostką ujmującym w swe ręce kaganiec oświaty i przyczyniającym się do utrzymania w równowadze steru nawy społecznej. Taką jednostką bez wątpienia byłaś Ty Pani na terenie naszego życia za to składamy Ci wyrazy uznania i szczerego żalu, że nas opuszczasz. Ale pewni jesteśmy, że szlachetna Twa działalność nieskończona i da Bóg jeszcze długie lata będzie owocna dla naszego kraju, czego szczerze życzą Ci Szanowna Pani głęboko uznający Twe prace.

Komitet Pomocy Dzieciom
Szkoła Zwierzyniecka
Ochrona Zwierzyniecka
Dozór Szkolny Powiatowy
Zwierzyniecki oddział RGO
Sekcja Pomocy Biednym
Sekcja Sanitarna

Czerwony Krzyż w Zwierzyńcu
Polska Macierz Szkolna
Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza
Koło Ziemianek
Zwierzynieckie Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne

/-/ podpisy"

Wyjazd ze Zwierzyńca był dla mnie z jednej strony najboleśniejszą chwilą życia mego, bom straciła tu najukochańszego Męża, Przyjaciela, Opiekuna. Z drugiej strony przekonałam się o szczerzej przyjaźni a nawet przywiązaniu miejscowych ludzi, tak współpracowników mego śp. Męża jak i ludności wiejskiej, która żegnała mnie ze łzami obsypując kwiatami polnymi. Wszystkie je złożyłam na grobie Męża mego.

Po roku ciało śp. Karola Czarnowskiego przewiozłam do grobu rodzinnego na Powązkach w Warszawie. W 10 lat po śmierci mego Męża została wmurowana tablica pamiątkowa w kościele w Zwierzyńcu ufundowana przez urzędników Ordynacji Zamojskiej. W tym dniu jakby ostatnim, związanym z 16-letnim pobytom naszym w Zwierzyńcu przemówienie Hrabiego Ordynata Zamojskiego jasno i z uczuciem wdzięczności scharakteryzowało rolę Plenipotentą, który dobrze rozumiał, czym jest wielka Instytucja – Ordynacja, służąca nie tylko Ordynatowi, ale krajowi i społeczeństwu, przekazaną szeroko i społecznie uznanym Statucie przez mądrego i pełnego zasługi założyciela śp. Jana Zamojskiego Kanclerza Polski.

Gdy piszę te wspomnienia odległe ode mnie o lat 19 przeżywam świeżo wielką stratę, bolesną stratę tak rodziny Zamojskich jak i Ordynacji ale i Polski. Śmierć przedwczesną Hrabiego Ordynata Maurycego Zamojskiego w dniu 5 maja 1939 roku, która zabrała człowieka o wielkich zasługach dla Polski. Zaczyna, szlachetna, przepojona patriotyzmem postać Ordynata Maurycego Zamojskiego powinna być chlubnie zapisana na kartach historii Polski odrodzonej. Nikt tak blisko jak Mąż mój, a tym samym i ja nie znał jego ofiarności okrytej zawsze skromnością własnej osoby. Bez rozgłosu, ten arystokrata z krwi i kości swoją hojną ręką, oddawał sprawie polskiej ofiarę nie tylko ze swego mienia, ale i ze swej osoby. Nie było sprawy narodowej, nie było ofiary dla niej przed którą by się cofnął Hrabia Ordynat czy to z czasów Dumy Państwowej w Petersburgu, gdzie był postem polskim, a urażony niesprawiedliwością zarządzeń władz rosyjskich względem przedstawicieli Polaków odesłał nadany sobie order rosyjski, czy to w roku 1905 gdy pierwsza manifestacja narodowa – pochód w Warszawie imponujący swą postawą i liczbą był przez Hrabiego Ordynata zorganizowany i przez niego na czele prowadzony.

Szkoły imienia Jana Zamojskiego, wydawnictwa, seminaria nauczycielskie i to wszystko co na terenie Paryża w związku z Komitetem Narodowym uczynionym było nie da się cyfrą ofiar określić. Ale zeznać trzeba, iż to Serce Polskie wszędzie znalazło ujście dla swego patriotyzmu i poczucia obowiązków na Nim ciążyących jako przedstawicieli najpiękniejszej zasługami i czystością tradycji rodziny Zamojskich, Ordynacie jednej z największych fortun w Polsce.

Hrabia Ordynat spełnił te obowiązki. Na nieszczęście wyraz uznania i docenienia tego Zasłużonego Obywatela i Patrioty danym był dopiero na pogrzebie jego tak w Warszawie jak i w Zamościu. Cześć jego pamięci.

Na zakończenie tych moich wspomnień chciałabym zaznaczyć, iż daleka jestem od myśli, że to co przedstawiłam z naszej a w szczególności mojej pracy i wysiłków uważam za zasługę. Każdy w życiu ma swoją misję do spełnienia i to staje się obowiązkiem. Tak też zawsze pracę społeczną traktuję. Pewne warunki, dane mi przez Boga, są to talenty, z których trzeba będzie zdać rachunek przy bilansie życia. Wdzięczna jestem Bogu i okolicznościom towarzyszącym życiu naszemu z moim nieodżałowanym śp. Mężem, że nam pozwolił w pewnej mierze z tych obowiązków się wywiązać.

Eleonora Czarnowska